

- Co u ciebie, Ziba, słyhać? – zapytała Agnieszka sadowiać się na fotelu pod oknem.

- A, stara bida, chociaż nie całkiem.

- O! A co tam nowego? Coś z Kasią?

- Z Kasią i nie tylko. Napijesz się czegoś?

- Może herbaty.

- Czekaj, nastawię wodę i ci opowiem.

Z Agnieszką widywałem się od czasu do czasu. Nie znałem jej tak dobrze jak Mariusza, ale swoją osobą wzbudzała moje zaufanie. Była ładna, miła, rozmowna i miała dar zjednywania sobie ludzi. Po prostu nie sposób było nie polubić tej sympatycznej blondynki. Czasami zazdrościłem Mariuszowi, że miał takie szczęście, ale nigdy nie wykraczaliśmy z Agnieszką poza przyjacielskie kontakty. Niekiedy, gdzieś w zakamarkach mego mózgu, kołatała się głupia myśl, co by było, gdybym zaczął podrywać Agnieszkę? Wiedziałem jednak, że do tego nie dojdzie z trzech powodów: nigdy nie zrobiłbym takiego świństwa najlepszemu koledze, nie wiadomo czy Agnieszka akurat by mnie chciała no i rzecz najważniejsza, miałem teraz Kaśkę, która była dla mnie wszystkim.

- Byłeś może u Kaski? – zapytała Agnieszka, gdy wróciłem do pokoju z herbatą.

- Byłem w tamtym tygodniu.

- I jak?

- Rzekłbym coraz lepiej i że dobrze jest, nie trza psuć. Jest tylko mały szkopał. Ona ma zeza, takiego prawie niewidocznego. Wiesz, mnie to nie przeszkadza, ale staremu na pewno będzie.

- Coś ty? To twój stary nie bardzo się na to wszystko zapatruje?

- Raczej nie. Już i tak truje mi dupę, że jeżdżę nie wiadomo po co, pieniądze tracę, zamiast znaleźć sobie kogoś na miejscu. A teraz jeszcze ten zez.

- Może nie mów mu o tym?

- Na razie nic nie będę wspominał, ale kiedyś w końcu i tak się dowie, ale może lepiej że nie od razu. Tak w ogóle to jeszcze nie wiem, co wyjdzie z tej mojej znajomości, ale jestem dobrej myśli.

- Fajnie, że znalazłeś sobie wreszcie dziewczynę. Szkoda tylko, że tak daleko.

- No, ja też nad tym boleję. Nie dość, że rzadko się widzimy, to teraz, przez to wojsko, chyba już wcale nie będziemy się spotykać.

- No właśnie i co z tym twoim wojskiem?
- Idę do tego OPMO czyli dawnego ZOMO. Byłem wczoraj po bilet. Trzeciego listopada nie będzie mnie już na wolności.
- To już niecałe dwa tygodnie.
- No, co zrobić. Mówię ci, tak mi się nie chce, że bajka. A jeszcze stary mnie na dodatek wkurza.
- Czemu?
- A bo mu się ubzdurało, żebym poszedł do normalnego wojska, że ZOMO biło ludzi i tak dalej. Ale przecież teraz są już inne czasy, nie można ciągle patrzeć w przeszłość. Ale o czym mam z nim dyskutować, jak on w ogóle w wojsku nie był.
- Nie był? To dlatego taki mądry.
- No, ja też potrafię doradzać tak jak on, bo to jest najłatwiejsze. Zły jest przez to na mnie jak nie wiem co.
- Nie przejmuj się, jakoś to będzie. Może w końcu mu przejdzie?
- Ja też właśnie na to liczę. Najbardziej jednak przerażają mnie te dwa lata niewoli. Tyle czasu zmarnowanego... A co tam słyszeć u ciebie? Już nie pamiętam, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Ciężko cię zastać w domu.
- Kiedy byłeś u mnie?
- A, już chwilę temu. Nawet chyba ze dwa, trzy razy, ale cię nie było.
- Może byłam na Zimowita. Dość często tam jeżdżę. Poza tym nigdzie w zasadzie nie chodzę. Czasem wyskoczę z kumpelami do „Piwnicy” potańczyć trochę, czasem zagłędę do Mrowli.
- Do Mrowli?
- Bynajmniej nie do starego Stopy. Pogadamy trochę z matką Mariusza. Wiesz, jak to baby.
- A Mariusz jak się trzyma?
- A siedzi w tej zakichanej Warszawie, a ja tu śnię o nim po nocach. Raz, gdy Gośka nocowała u mnie i spałyśmy razem, to tak się nawzajem obłapywałyśmy i tuliły do siebie jak jakieś zboczone panieny.
- Ale jaja! – roześmiałem się szczerze.
- Mówię ci, serio! Tęsknię za nim jak nie wiem co. Czekam, kiedy wreszcie przyjedzie. Ale tak, przyjedzie w sobotę wieczorem, a w niedzielę po południu musi wracać. I nie wiadomo co robić: jechać do Mrowli czy zostać na Podchorążych?
- Przewalone mają z tymi sobotami. Powinny być wszystkie wolne, a nie tylko jedna w miesiącu.

- Pocieszam się tylko tym, że na święta będę go miała trochę na dłużej.
- No, ja też mam nadzieję, że święta spędzę w domu, choć co tu jeszcze mówić o świętach.
- Piotruś, lecę już, bo nie chcę wracać późno w tych ciemnościach koło mojego bloku.
- Może cię odprowadzić?
- No coś ty? Gdzie będziesz jechał specjalnie? Teraz jeszcze ludzie się kręcą, tylko chodzi mi o to, że tak koło dziesiątej to mam trochę pietra jak idę do domu. Jak na przykład idziemy z Goską na dyskotekę, to zawsze razem wracamy.
- To aż tak niebezpiecznie koło ciebie?
- A mało to teraz różnych zboczeńców? Wypadnie taki zza krzaków, przyłoży mi w łeb i po ptakach.
- Niby racja...
- To trzymaj się i nie martw się tak tym wszystkim. Cześć!
- No, łatwo ci mówić, ale jakoś to może przeżyję...

Ta ostatnia przed pójściem do wojska wizyta u Kasi nie należała do najweselszych, bo i niby z czego mieliśmy się cieszyć? Że zostaniemy zdani na łaskę i niełaskę losu na okres dwóch lat? Wierzyłem jednak, a przynajmniej chciałem wierzyć, że nasza miłość okaże się na tyle silna, że pokona wszystkie przeszkody i bariery. Kochaliśmy się jak jeszcze nigdy dotąd. Syciliśmy się sobą na zapas nie wiedząc, kiedy nadarzy się następna ku temu okazja. Miałem ogromną ochotę zagłębić się w jej ciało i zrobiłbym to, gdyby tylko mi na to pozwoliła. Bowiem przyrzekłem sobie, że nigdy nie zrobię niczego, na co by Kaśka nie miała ochoty. Gdy odjeżdżałem, widziałem w jej dużych oczach łzy, łzy, które raniły moje serce, a ja nic nie mogłem zrobić, by je powstrzymać...

Przed pójściem do jednostki otrzymałem jeszcze przepełniony miłością list.

„... Było wspaniale! Kocham Cię coraz bardziej. Chciałabym, abyś nigdy mnie nie zostawił. Gdybyś to zrobił, nie wiem, co bym wtedy ze sobą zrobiła. Na pewno nic wesołego. Pragnę, abyśmy byli kiedyś razem i abyśmy byli naprawdę szczęśliwi. Nie myślałam, że tak bardzo Cię pokocham i że będę strasznie cierpieć z powodu naszego rozstania. Będę za Tobą bardzo tęskniła. Pamiętaj, że tylko Ty jesteś dla mnie najdroższy i najważniejszy. Ufam Ci i mam nadzieję, że nie zawiodę się na Tobie. Bądź mi wierny, a ja odpłacę Ci tym samym. Piotrusiu, będę czekała na Ciebie z utęsknieniem i mam nadzieję, że wrócisz do mnie, ale tym razem już na zawsze. Wierzę, że nic się nie zmieni między nami i wszystko będzie dobrze. Kocham Cię!”

Trzeci listopad tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku na zawsze pozostanie w mej pa-

mięci. Nie na co dzień bowiem człowiek przeżywa horror. Nigdy nie przypuszczałem, że ludzie mogą być takimi zwierzętami. Gdy znalazłem się za bramą to poczułem się nie jak w Oddziale Prewencji w Zaczerniu, ale jak w Oświęcimiu za okupacji. Każdy był nastawiony na normalne, ludzkie, kulturalne przyjęcie. Tak nam przynajmniej mydlili oczy na komendzie wojewódzkiej. Ale już w drodze od bramy na kompanię zacząłem nabierać podejrzeń, które rozwiały się całkowicie, gdy tylko weszliśmy do budynku. Bieg na pierwsze piętro, kilka ryknień i pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to milicjant z biało-czerwoną opaską na lewym ramieniu, siedzący za biurkiem na wprost schodów. Nie wiem, dlaczego właśnie na niego zwróciłem szczególną uwagę? Może dlatego, że on jeden był w mundurze wyjściowym, podczas gdy reszta chodziła w moro? Dopiero trochę później dowiedziałem się, że biurko to stolik podoficera, a siedzący za nim to podoficer dyżurny. Tego dnia był nim kapral Wiśniewski Tadeusz. Jaki był z niego fałszywiec i kupę skurwysyna, miałem się dopiero przekonać.

Po zapisaniu naszych nazwisk przez podoficera udaliśmy się biegiem do fryzjera, który ulokował się w palarni. Okazało się, że trafiłem na ojca mojego kolegi z podstawówki. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego trzeba biegać, skoro można chodzić normalnie? Był to jeden z tych głupich zwyczajów panujący w tej i nie tylko w tej jednostce. Zostaliśmy ostrzyżeni niemal na zero. Potem pobieranie sort mundurowych, oczywiście w dużym pośpiechu, ale przynajmniej starali się znaleźć jakieś wymiarowe ciuchy. Następną nowiną było dla mnie „parzenie łóżka”. Jak łóżko w ogóle może parzyć? Nie rozumiałem, dlaczego nie mogę usiąść na łóżku podczas przebierania, a za karę muszę robić pompki? Albo dlaczego muszę meldować się byle dupkowi z prośbą o pozwolenie przejścia, podczas gdy ten stoi złośliwie w drzwiach? Albo po co dorabiać dziurki w pasie, skoro i tak można się nim wystarczająco mocno ścisnąć? Powoli przedstawało mi się tu podobać i zacząłem przeklinać swoją decyzję przyjscia do tej jednostki. Na dodatek ze smutkiem zauważyłem, że nie ma tu ani jednego człowieka, który traktowałby nas normalnie, a nie jak bydło. No i te nieustające ryki, które najbardziej wytręcały mnie z równowagi.

Przez cały dzień mieliśmy zajęcie. Początkowo miało nas przyjść osiemdziesięciu i na tyle osób było przygotowanych łóżek. Tymczasem przyszło tylko dwudziestu czterech i oczywiście nadwyżki trzeba było usunąć. Zeszło nam z tym do obiadu, podczas którego wreszcie chwile odetchnęliśmy. Nie miałem w ogóle apetytu. Chciało mi się tylko pić. Po posiłku podzielili nas na drużyny. Ja znalazłem się w pierwszej drużynie, której dowódcą był kapral Zdzisław Janeczko. Na pierwszy rzut oka wyglądał na normalnego, ale też miał swoje odchyłki, bo tam prawie każdy był na swój sposób jebnięty. Zasłaliśmy swoje łóżka, które od tej chwili stały się pojazdami. W domu nigdy nie zaścieliłbym łóżka w tak głupi sposób, ale musiałem przyznać, że łóżko pościelone „po wojskowemu” prezentowało się bardzo elegancko. A później zaczęło się sprzątanie całej kompanii, które trwało aż do nocy, z przerwą na kolację. Przynieśliśmy parę wiader piasku, parę wiader wody i szorowaliśmy tą mieszaniną linoleum trąc je energicznie trampkami. To już była dla mnie największa głupota w tym dniu. Wyczyściliśmy cały korytarz i trzy sale. Potem oczywiście trzeba było zebrać to błoto, zmyć podłogę na czysto, zapastować i wyfroterować. Pod koniec dnia miałem już dość. Bolały mnie nogi, piłem ciągle zimną wodę z jakiegoś zasyfiałego wiaderka po farbie, bo bałem się biegać do ubikacji, żeby czasem nie zostać po drodze przejebanym przez kaprali. A i tak co chwila ktoś wpadał do sali, zupełnie nie wiadomo po co i jeśli nikt nie złożył meldunku, a przeważnie nikt tego nie robił, bo każdy się bał i jeden patrzył na drugiego, to był od razu „granat” i pompki. I nie ważne było, czy kładło się na suchej czy mokrej podłodze. Z ulgą powitałem więc capstrzyk, ale ze zgrozą myślałem o dniu następnym.

W nocy prawie w ogóle nie spałem. Byłem przecież tak potwornie zmęczony, że powinienem spać jak zabity. Czułem, że chyba jestem chory. Gdy tylko zobaczyłem, że na poranną zaprawę idzie z nami Wiśniewski, to nogi się pode mną ugięły. W moro i czarnych rękawiczkach wyglądał niczym gestapowiec, a

jego krzyki dopełniły jedynie tego porównania. Nigdy nie miałem najlepszej kondycji, toteż bieganie po placu szybko mnie zmogło. Ze mną wysiadło jeszcze dwóch. Jednemu z nich lała się krew z nosa. Po śniadaniu pojechaliśmy razem z nim i z pielęgniarką do Rzeszowa, do polikliniki. Dostałem cztery dni wolnego, bo okazało się, że mam anginę. Jakież ja byłem szczęśliwy, że te pierwsze, najgorsze chwile, spędzę w łóżku. Izba chorych była jeszcze nieczynna więc leżałem na Sali drużyny. Jednocześnie było mi trochę głupio wobec kolegów, że oni są jebani, a ja się wyleguję. Czułem na sobie ich spojrzenia i cieszyłem się, kiedy mieli jakieś zajęcia i nie przebywali w sali.

Niedziela była dniem odwiedzin, ale w pierwszą niedzielę było bardzo mało odwiedzających. Będąc u lekarza skorzystałem z okazji i zadzwoniłem do ojca do pracy, żeby przyjechał w niedzielę. Powitałem go nieszczęśliwą miną, a on zamiast jakoś mnie pocieszyć i podbudować na duchu, to wysunął swoje wspańnię argumenty, że dobrze mi radził, że mam za swoje, bo go nie posłuchałem. Na szczęście potem mu przeszło to durne gadanie.

Na zomozie dzień był podobny do dnia. Pobudka, zaprawa, śniadanie, sprzątanie, wykłady, obiad, sprzątanie, nauka, kolacja, sprzątanie, capstrzyk. Mimo iż spałem te osiem godzin, to ciągle chodziłem niewyspany. Na wykładach oczy same mi się zamykały. Zresztą nie tylko mnie. Ale nic dziwnego, skoro pozostałe szesnaście godzin byliśmy w nieustannym ruchu. Jedynie w niedzielę było więcej luzu i pobudka była o siódmej. Ale wiadomo, niedziela to dzień odwiedzin. Czasem, gdy nie zmuliliśmy, kaprale w przypływie ludzkich odruchów, pozwalali oglądać w sobotę film po dzienniku albo położyć się wcześniej spać. Czasem było też video i to było rzeczywiście święto na kompanii.

Najbardziej nie cierpiałem taktyk. Wiązał się z tym zawsze alarm, czyli pakowanie do plecaka wszystkiego, co ojczyzna dała, łącznie z piżamą, pościelą i przyborami do czyszczenia butów. Na co żołnierzowi na wojnie pościel albo pasta do butów, tego za cholerę nie potrafiłem pojąć.

Taktyka wiązała się z jakimś poronionym bieganiem po lesie za nieprzyjacielem z tym, że nieprzyjaciel mógłby nas wszystkich powystrelić sto tysięcy razy, zanim byśmy go dopadli. Po taktyce zawsze było czyszczenie broni, której nigdy nie dało się do końca wyczyścić. Można ją było jedynie przeczyścić. Całe szczęście, że obok sztabu budowano nowy budynek i często, zamiast do lasu, chodziliśmy nosić cegły i pustaki. Było to o wiele lepsze niż bieganie między drzewami. W ten sposób upiekło mi się parę taktyk, a parę następnych przechorowałem, bo o to było u mnie nietrudno. Wystarczyło się trochę spocić na zaprawie, a potem trochę wiatru, który na fomozie piździł non stop i przeziębienie gotowe.

Z sześciu kaprali, którzy nas ćwiczyli, najmożliwszy był jeszcze Wojtek Pieszko. Może dlatego, że był kompanijnym pisarzem i nigdy z nami nie przebywał, ale jak już się tak zdarzyło, to zawsze traktował nas normalnie. Potem był piszczący Florek Pazdan, którego koledzy z jego fali przezywali Belkot, bo rzeczywiście ciągle nawijał, często bez sensu. A potem była reszta. Waldek Frańczak, wymoczkowaty blondyn, zajądający ciągle serki topione i udający wielkiego sportowca. Marek Bielamowicz, kurdupłowaty kolejarz z cywila, który wydierał się jak kastrowany kogut, a jego ulubionym powiedzeniem było: „Oj-cowieeee!!! Ja mam dziś podoficera! Ja was dzisiaj zajebię!!!”. Tadek Wiśniewski okazał się być faktycznie wredny i fałszywy, tak jak zresztą przypuszczałem, a jego serdeczny kolega Zdzisław Janeczko też miewał niekiedy napady głupawki. Wpadał czasem do Sali, sprawdzał, czy kurze z świetlówek są wytarte, albo wywalał wszystko z szafek, bo było niepoukładane, albo poukładane niejednakowo, bo przecież „w wojsku jest chujowo, ale jednakowo”.

Na sali panowało pełne zrozumienie, choć zostaliśmy dobrani zupełnie przypadkowo. Nikt jednak nie kablował, ani nie lizał dupy kapralom, jak to miało miejsce w pozostałych drużynach. Najrówniejszy ze wszystkich był Józek Kocur. Zawsze można było się z nim dogadać, choć miał zapędy dowódcze i zawsze chciał, żeby było po jego myśli. Krzysiek Momola był pociotkiem kapitana Momoli, zastępcy dowódcy ds. wychowawczych. Też był w porządku, choć ciągle psioczył na komunę i ciągle lizał swoje włosy i czasem z Józkiem naśmiewaliśmy się z niego po cichu. Miał trochę luzu, bo chorował na serce (jakim cudem przeszedł komisję?) i kaprale bali się, żeby czasem nie zrobił im jakiegoś numeru. Marian Abramek był nerwowy i bardzo zawzięty. Choć szczupły, to jednak miał parę w rękach i lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Tomek Bajor był prostakiem, bo jak inaczej nazwać człowieka, który edukację zakończył na szkole podstawowej, jedynym celem w jego życiu było napić się wódki? Był duży i silny i stanowił przykład typowego zomowca: odporny na wiedzę i trudny do zajeбования. Piotrek Dereń był w cywilu taksówkarzem w Czudcu i z początku nazywaliśmy go Taryfą, ale potem ochrzcziliśmy go Drakulą z racji jego trochę niesamowitego wyglądu. Poza tym był niechlujem i bardzo nie lubił się myć. Jarek Koziół był typowym mulantem. Ruchy miał zawsze anemiczne i poruszał się jak w zwolnionym tempie. Czasami trudno było się z nim dogadać, ale był w porządku. Najdziwniejszy był Krzysiek Podolak. Przeżywaliśmy go Zombie z racji jego wytrzeszczonych, żabich oczu. Był żonaty z jakąś dziewczyną, o której chodziły słuchy, że paru ją przeleciało na jednostce. Nigdy nie miał pieniędzy, zawsze sępił cukierki czy papierosy, nigdy sam sobie niczego nie kupił i Sęp to było jego drugie przezwisko.

Bardzo tęskniłem za Kasią i często myślałem o niej leżąc już w łóżku. W ciągu dnia nie było bowiem czasu na rozmyślanie. Pragnąłem niezmiennie spotkać się z nią, ale wiedziałem, że moje marzenia to utopia. Cuda jednak się zdarzają. Ostatni tydzień listopada nasza kompania pracowała przy zakrywaniu betonowymi płytami kanału ciepłowniczego. Czas był ku temu najwyższy, bo śnieg już od dawna leżał na polu. Tak się złożyło, że pracowałem tylko w poniedziałek i w piątek. Pozostałe dni przeleżałem na izbie chorych. Jednak nic wiele nie straciłem, bo na dworze było cholernie zimno. Za to wiele zyskałem, bo w nagrodę cała kompania pojechała na dwudniową planówkę. Niektórzy umawiali się na jakieś picie, ale ja wiedziałem, gdzie spędzę ten wolny czas. Miałem go akurat tyle, by pojechać na całą sobotę do Kasi...

Nigdy nie sądziłem, że przez miesiąc tak bardzo można się stęsknić za domem, za wolnością, za normalnym życiem. Mogłem te dwa i pół dnia spędzić inaczej, posiedzieć w domu, wyspać się czy poczytać książki, bo na to też na jednostce nie miałem czasu. Ale nigdy bym sobie nie darował tego, że nie wykorzystałem tych paru chwil i nie odwiedziłem mojej ukochanej. Dlatego też zaraz po przyjeździe do Rzeszowa poszedłem na dworzec i kupiłem bilet do Bydgoszczy. Ojciec oczywiście był nie w sosie, gdy mu oznajmiłem o swoim planie. Ale nie był jednak w stanie Anie mnie zatrzymać, ani zgasić mojego zapału i entuzjazmu. Dla mnie nieważne było to, że spędzę dwie noce w pociągu, że nic nie odpocznę i wrócę do jednostki zmęczony. Marzyłem tylko o tym, by być przy niej choć przez chwilę.

Powitała mnie zaspana, jeszcze gorąca od snu. Przytuliła się do mnie, przywarła mocno całym ciałem. Nie musiała nic mówić. Rozumieliśmy się bez słów. Widziałem, że jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

- Wiesz – powiedziała w pewnej chwili – wczoraj wieczorem tak bardzo pragnęłam, abyś był przy mnie, że nawet napisałam do ciebie list. A ty zjawiasz się dziś rano... doprawdy, nie mogę w to uwierzyć... Nawet nie wiesz, jak ogromną radość sprawiłeś mi swoim przybyciem...

„... Mama wciąż mówi, że poszukasz sobie innej dziewczyny – pisała w niewysłanym liście Kasia – i żebym nie zawracała sobie głowy Twoją osobą. Na to ja jej odpowiadam, że mam już przecież 18 lat i ch-

cę wreszcie pomyśleć poważnie o swojej przyszłości. Ona myśli, że ja wciąż jestem małą, bezbronną dziewczynką potrzebującą tylko i wyłącznie rodzicielskiej miłości. A przecież jest całkiem inaczej. Czasami mogę ją zrozumieć, ale tylko czasami.

Nie wyobrażasz sobie chyba, jak bardzo chciałabym spotkać się z Tobą. To jest moje najskrytsze marzenie. Boję się, że jak tak dalej będzie to zrezygnujesz ze mnie ostatecznie i poszukasz sobie innej, ładniejszej dziewczyny, która ma mniej zaborczych rodziców ode mnie. Ale dlaczego ja mam cierpieć przez moich rodziców? Pragnę być z Tobą i tylko z Tobą. Może to głupie, ale kocham Cię jak nikogo przedtem. Jesteś dla mnie najdroższą osobą na świecie. Dzięki Tobie znalazłam prawdziwy sens życia. Pragnę być z Tobą do końca moich dni. Teraz, zamiast się śmiać, ja płaczę. Chciałabym, abyśmy się spotkali jak najszybciej. Kochanie, przyjedź jak najprędzej!...”

- Skarbie – szepnąłem biorąc ją w objęcia. – Nawet nie masz pojęcia, jak ogromnie stęskniłem się za tobą przez ten miesiąc. Tak mi cię brakowało, jak jeszcze nigdy dotąd. Ale czy to nie cud? Jeszcze wczoraj marzyłaś, żebyś był z tobą, a dziś rano budzisz się w moich ramionach... No, nie płacz głuptasie – scałowałem dwie grube łzy, które właśnie staczały się po jej policzkach, by wsiąknąć w mój sweter. Moje słowa spowodowały kolejną kaskadę wody, która tryskała obficie z Kasinych oczu. Ukryła swą twarz w moich ramionach i przez chwilę słyszałem tylko ciche pochlipywanie. W końcu popatrzyła na mnie i śmiejąc się przez łzy powiedziała:

- To tylko ze szczęścia. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile dla mnie znaczysz. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś teraz ze mną.

Tego dnia wiele nie rozmawialiśmy ze sobą. Byliśmy zbyt spragnieni siebie, żeby tracić cenne minuty na słowa. Nawet nie przypuszczałem, że tej soboty rozpocznę niejako kolejny etap mojego życia. Stało się to po południu, podczas pieszczot. Swoim zachowaniem dała mi do zrozumienia, że oczekuje dziś z mojej strony czegoś więcej. Marzyłem o tej chwili, ale nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko. Chciałem pokazać się z jak najlepszej strony, ale nie mogłem! Czuję się taki upokorzony, choć Kasia zachowała się wspaniale. Wykazała dużo taktu i zrozumienia i nie robiła żadnych głupich uwag czy docinków. Starałem się jak mogłem, by osiągnąć wreszcie erekcję, ale czy byłem zbyt spięty, czy też zbyt zmęczony, dość że nic z tego nie wychodziło. Ale w końcu udało mi się, choć marnie to wypadło, w jak najgorszym stylu. Doświadczyłem jednak tego uczucia, jedyne w swoim rodzaju i stałem się prawdziwym mężczyzną... I z tego zaaferowania nawet nie zapytałem Kasi, czy jest pewna, że ten pierwszy raz nie będzie miał niespodziewanych konsekwencji. Potem dopiero przypomniałem sobie, że przy każdym pobycie widziałem jak Kaśka łyka jakieś tabletki. Nie pytałem, na co, ale z pewnością były to tabletki antykoncepcyjne.

„.... Kochanie, swoim przyjazdem zrobiłeś mi naprawdę ogromną radość, której nie można wyrazić słowami. Takie niespodzianki są najwspanialsze i niezapomniane. Czy bardzo się rozczerowałeś, gdy zastałeś mnie w wierności? Nie mogłabym Cię zdradzić. To byłoby sprzeczne z moją naturą. Uwierz mi, proszę, że dla mnie istniejesz tylko i wyłącznie Ty. Poza Tobą nie ma nikogo. Gdyby było inaczej, nigdy byś nie usłyszał ode mnie „kocham Cię”. Nienawidzę działania na kilku frontach.

To, co stało się między nami, było naprawdę wspaniale. Jesteś najwspanialszy na świecie. Wiem, że byłeś trochę zaskoczony moją decyzją, ale zapragnęłam podarować Ci coś więcej. Zaufałam Ci i mam nadzieję, że się nie zawiodę. Tak bardzo chciałabym, abyś był ze mną szczęśliwy, tak bardzo tego pragnę. Muszę Ci powiedzieć, że ja jestem naprawdę bardzo szczęśliwa i nigdy bym nie chciała, aby cokolwiek

czy ktokolwiek zniszczył to moje szczęście. Nie wiem, co bym wtedy zrobiła? Nie chcę o tym teraz w ogóle myśleć. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły z powodu mojej zaskakującej decyzji. Jeżeli tak, to bardzo przepraszam...”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jelcz392, dodano 12.01.2022 16:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.